

# Zaklinacz deszczu

28 kwietnia 2013

Na początku zeszłego stulecia, w zachodniej części Stanów Zjednoczonych przez dwa lata utrzymywała się susza. Długotrwały brak opadów zrujnował wielu farmerów. Naciskani przez mieszkańców miast urzędnicy musieli podjąć jakąś decyzję – zaczęto poważnie myśleć o wynajęciu „zaklinacza deszczu”. Człowiekiem, który znakomicie nadawał się do tej roli był Charles Hatfield, sprzedawca maszyn do szycia, mało znany wynalazca i konstruktor...

Urodzony w 1875 roku w Fort Scott w Kansas, Hatfield twierdził, że przez siedem lat sam studiował meteorologię. Nauka ta zaowocowała doniosłym odkryciem. Mężczyzna zrozumiał, iż wysłanie w niebo oparów mieszaniny pewnych substancji powoduje tworzenie się chmur na tyle masywnych, że mogą spowodować deszcz. Mawiał, iż jego „mikstury” działają jak nawozy na polu. Mimo wielu przeciwników – przede wszystkim amerykańskiego Biura ds. Pogody, którego przedstawiciele uważali go za oszołoma – Hatfield cieszył się reputacją osoby skutecznie radzącej sobie z suszą.

Największą sławę zyskał w 1916 roku, gdy zatrudniło go miasto San Diego. Dzięki niemu w ciągu dwóch tygodni w okolicy spadło 38 cali deszczu. Był to absolutny rekord, nie pobity do dnia dzisiejszego! Niestety z tej przygody Charles ledwo uszedł z życiem: raz wywołany deszcz padał bardzo długo, tak że po suszy nastąpił „potop”. Okoliczni farmerzy – w pierwszym momencie uradowani – po kilku dniach zaczęli ścigać Zaklinacza z zamiarem linczu.

Nie uprzedzajmy jednak faktów i opowiedzmy tę historię od samego początku.

Mieszkając jeszcze w Vista w Kalifornii, Hatfield jako młody chłopak zbudował wysoką na 20 stóp wieżę, po czym ustawił na

niej ogromną drewnianą kadź. Konstrukcja ta służyła do testowania wpływu pewnych substancji na zachowanie się chmur. Pierwszy eksperyment, jaki przeprowadził razem z bratem Paulem, polegał na wymieszaniu różnych ingredientów, których opary powędrowały do nieba. Po południu padało i był to jedyny deszcz, jaki tego dnia spadł w całym stanie. Wędrując od Zachodniego Wybrzeża aż po Alaskę, Hatfield zdobył sławę najskuteczniejszego „zaklinacza deszczu” w USA. Opowieści o jego wyczynach docierały do najdalszych zakątków Ameryki. Z wielu stron płynęły słowa zachęty, by sprowadzaniem deszczu zajął się zawodowo. W kilka lat po pierwszym eksperymencie podpisał kontrakty z władzami wielu miast, np. Los Angeles, ale też małych miasteczek w dolinie San Joaquin. W zależności od potrzeb zobowiązywał się dostarczyć mżawkę, deszcz, albo burzę.

A wszystko zaczęło się w roku 1904, gdy za sprowadzenie deszczu do dotkniętego suszą miasta Izba Handlowa Los Angeles zaoferowała mu 50 dolarów. Na wzgórzach otaczających LA Zaklinacz zbudował wieżę, a następnie rozpylił sporządzoną przez siebie mieszaninę. Umowa zakładała, że deszcz pojawi się w okolicy nie mniej niż trzy godziny i nie więcej niż pięć dni po wykonaniu zadania. Gdy czwartego dnia spadł cał wody, Charles przeżył chwile chwały. Miało to konkretne przełożenie na propozycje biznesowe, prośby o cykle wykładów i oferowane czeki.

10 sierpnia 1905 roku kontrakt z Hatfieldem zawarła rada Yukon; w 1906 roku zobowiązał się przywieść swoje akcesoria do Klondike. Ustalono, że jeśli deszcz spadnie w wystarczającej ilości (miała być ona zmierzona przez komisję składającą się z siedmiu osób!), Hatfield otrzyma 10 tysięcy dolarów. Jeśli do tego nie dojdzie, ma zagwarantowany zwrot kosztów podróży i transportu. 3 czerwca miejscowy dziennik „Weekly Star” zażartował, że gość mógłby „poczęstować miasto malutkim opadzikiem, ot, takim za pięćdziesiąt centów, albo dwoma za ćwiartkę”. Pewnie dlatego, gdy parowiec „Selkirk” przybył do

Dawson, Charlesa, jako wybawiciela i osobę mającą nadprzyrodzone moce, witał ogromy tłum ludzi. Na wszelki wypadek pojawili się w kaloszach i z rozłożonymi parasolami.

Przez pierwsze lata XX wieku obszarem najbardziej dotkniętym brakiem opadów w Ameryce była Południowa Kalifornia. W roku 1912 zapasy wody definitywnie zaczęły się kończyć i nic nie wskazywało, że ten stan rzeczy ulegnie zmianie. W tej sytuacji część obywateli wyraziła gotowość zwrócenia się o pomoc do kogoś, kto rozwiąże ich kłopoty – nieważne w jaki sposób.

Do Rady Miasta w imieniu Stowarzyszenia na Rzecz Rozwoju San Diego napisał Fred Binney. „Zbiornik przy zaporze Morena jest wypełniony tylko w jednej trzeciej – stwierdził – a funkcjonowanie miasta zależy od regularnych dostaw wody. W związku z tym uważamy, że w celu wywołania deszczu Rada powinna zatrudnić Charlesa Hatfielda”.

Urzednicy propozycję odrzucili, a spory wokół tej kwestii trwały jeszcze trzy lata. Wreszcie na początku grudnia 1915 roku delegacja członków Stowarzyszenia złożyła wizytę w siedzibie Hatfielda w Eagle Rock, w pobliżu Los Angeles. Pytanie, jakie zadali, było proste: Czy czuje się pan na siłach napełnić wodą sztuczny zbiornik?

Hatfield stwierdził, że nie widzi problemu.

Jezioro Morena stanowiło główne źródło zapasów wody dla San Diego. Było wypełnione w jednej trzeciej i taki stan rzeczy utrzymywał się przez 20 lat. Obecnie sytuacja stawała się niebezpieczna. Gdy Zaklinacz przybył na miejsce, ujrzał jedynie błotnistą, cuchnącą nieckę. Jego oferta przedstawiała się następująco: tysiąc dolarów za każdy cal deszczu, albo dziesięć tysięcy dolarów za wypełnienie wyschniętego zbiornika w całości, co dawało miastu zapasy wody na najbliższe dwa lata.

15 grudnia 1915 roku Charles porozumiał się z władzami. Urzednicy przystali na drugą część jego propozycji, lecz

ograniczono się do zawarcia umowy ustnej – kontraktu nie podpisano.

Sześćdziesiąt mil na wschód od San Diego robotnicy Hatfielda zbudowali wysoką na dwadzieścia stóp wieżę z platformą. Gdy budowa została ukończona, na górę wciągnięto zapłombowane pojemniki z nieznaną substancją. 13 stycznia Zaklinacz zabrał się do pracy. Przez 24 godziny, niczym olbrzymi smok, wieża wypluwała w niebo cuchnące opary.

Następnego dnia nad miastem zgromadziły się potężne chmury. Deszcz zaczął padać około południa. Na ulicach San Diego kobiety i mężczyźni biegali w strugach wody, krzycząc i goniąc się jak dzieci. Tłum wiwatował, a powozy farmerów pędziły w kierunku zapory Morena, w szalonej gonitwie przypominającej wyścig rydwanów. Każdy chciał uścisnąć dłoń temu, kto w ciągu jednej doby uratował miasto przed suszą, każdy chciał osobiście podziękować Zaklinaczowi.

Przez kolejne trzy dni ulewa nie słabła, zasilając pobliskie stawy i rzeki. Z tego powodu odwołano zawody na nowo otwartym Torze Wyścigowym Caliente. Prawdziwym problemem deszcz stał się jednak dopiero czwartego dnia. Zbiorniki w Otay i Sweetwater błyskawicznie wypełniły się i wylały. Ściana wody o wysokości 1,5 metra przerwała wszystkie zapory i z impetem runęła w dolinę. Po właścicieli gospodarstw hodowlanych trzeba było wysłać łodzie ratunkowe. Mosty zaczynały chwiać się w posadach, a szyny kolejowe luzować. Zalane zostały linie telefoniczne i telegraficzne.

19 stycznia woda wyniosła z kanionu kilka ciał. Zauważył to maszynista pociągu zmierzającego do San Diego, który musiał wysadzić pasażerów wiele mil na północ od miasta. Zanim 20 stycznia opady ustały, żywioł pochłonął 50 ofiar głównie spośród mieszkańców terenów podmiejskich.

Ku przerażeniu władz 26 stycznia wszystko rozpoczęły się od nowa. Poziom wody na zaporze wzrastał z prędkością dwóch stóp

na godzinę. Inżynierowie odpowiedzialni za jej funkcjonowanie próbowali poluzować dwa główne zawory, by wypuścić część wody do kanionu. Wreszcie, gdy do szczytu pozostało tylko pięć cali, deszcz zaczął słabnąć. Miasto i zaporę uniknęły zatopienia dosłownie w ostatniej chwili.

Kiedy następnego dnia Hatfield demontował swą wieżę i pakował tajemnicze chemikalia, otrzymał wiadomość, że tłum mieszkańców San Diego poszukuje go z zamiarem dokonania linczu. Nie namyślając się długo wsiadł na konia i uciekł, co uratowało mu życie.

Po wykonaniu pracy Charles zażądał zapłaty, lecz Rada Miasta odmówiła argumentując, że gdyby wypłaciła honorarium, byłoby to równoznaczne z wzięciem na siebie odpowiedzialności za szkody wywołane opadami. Hatfieldowi nie zwrócono nawet jego kosztów własnych, które wycenił na 4 tys. dolarów.

Zaklinacz nie poczuwał się do winy. Twierdził, że poinformował radę ile wody może spaść i to ona powinna podjąć właściwe kroki. Tak jak obiecał dostarczył deszcz, nie otrzymując w zamian ani centa.

Hatfield zaskarżył władze San Diego do sądu. Proces ciągnął się aż do 1938 roku i zakończył werdyktem Sądu Najwyższego Kalifornii. W orzeczeniu stwierdzono, że deszcz nie był dziełem Hatfielda, lecz... Boga.

„Ponieważ przez wiele dni z nieba lała się woda – wyjaśniał wynajęty przez miasto prawnik – jest rzeczą naturalną, że opady napełniły zbiornik przy zaporze Morena. Z tego powodu, dopóki nie zostanie udowodnione, że deszcz był wynikiem działań przedsięwziętych przez pana Hatfielda, nie wypłacimy żadnych pieniędzy”.

Mimo iż sprawę przegrał, jego popularność gwałtownie wzrosła. Kontrakt zaproponowali mu wysłannicy ze Środkowego Wschodu i z Australii. Tych zleceń jednak nie przyjął, ponieważ – jak podkreślał – wolał pracować w Kalifornii.

W czasie Wielkiego Kryzysu susza dotknęła zachodnie stany Ameryki. Hatfield złożył ofertę sprowadzenia deszczu w ten rejon, lecz prezydent Roosevelt zdecydowanie ją odrzucił. W tamtym czasie na działania mające wywołać opady (m.in. artyleryjski ostrzał nieba) Kongres przeznaczył ponad 20 tysięcy dolarów. Była to sromotna porażka. Technologia, jaką do modyfikacji pogody stosował Hatfield, pozostała tajemnicą. Aż do swej śmierci w 1958 roku Zaklinacz nie wyjawiał jakich używał substancji. Nie wiedział tego nawet jego brat Paul, choć razem dokonali ponad 500 udanych operacji. Oczywiście Hatfield był celem niewybrednych kpin. Wielu złośliwców twierdziło, że uważnie obserwuje zjawiska meteorologiczne i przybywa w newralgiczny punkt w momencie, gdy warunki pogodowe zaczynają sprzyjać opadom. Niewykluczone, że czasem tak właśnie było, lecz w żaden sposób nie wyjaśnia to wszystkich jego sukcesów – niekiedy bardzo spektakularnych

Kilka lat po „potopie” w San Diego, w pobliżu zbiornika Morena wmurowano tablicę pamiątkową, zawierającą opis dramatycznych wydarzeń. Historia „zaklinacza deszczu” zainspirowała też twórców hollywoodzkich. W filmie „The Rainmaker” w rolach głównych zagrali: Burt Lancaster i Katharine Hepburn. Postać Charlesa Hatfielda jako element miejscowego folkloru zyskała nieśmiertelność w wierszach i piosenkach. Przebój zatytułowany „Hatfield” wykonuje amerykańska grupa Widespread Panic. Mówi się, że ilekroć grają ten utwór, na niebie pojawiają się chmury i zaczyna lać jak z cebra...

## **TAJEMNICA PANA JAWELLA**

W Teksasie susza zawsze stanowiła duży problem. W latach 90. XIX wieku zaczęto tam eksperymentować z technikami wywoływania deszczu.

W 1891 roku generał Robert St. George Dyrenforth użył artylerii, starając się wywołać chmury deszczowe nad Midland. Eksperyment sfinansowały: Departament Rolnictwa USA oraz Amerykański Kongres. Po tym zdarzeniu wzrosło zainteresowanie

metodami sztucznego wywoływania deszczu. Zajęła się nimi także znana firma Chicago, Rock Island&Pacific Ry. Company.

W miesięczniku „Engineering News” z lutego 1895 ukazał się artykuł prezentujący wynalazek, obecnie całkowicie zapomniany. Skonstruował go niejaki C. B. Jewell z miejscowości Goodland w stanie Kansas. Sposób sztucznego wywoływania deszczu przez pana Jewella i jego asystentów otaczała tajemnica. Chicago, Rock Island&Pacific Ry. Compan bardziej było zainteresowane skutecznością podejmowanych działań, które – jak głosiła fama – sięgały 90 procent, niż ich charakterem. Autor artykułu pisał: „System tworzenia deszczu, używany przez firmę Chicago... polega na wstrzykiwaniu gazu lub mieszanki gazów do powietrza, co dostarcza atmosferze brakującego elementu, niezbędnego, by spadł deszcz. Kompozycja tego gazu lub mieszaniny stanowi sekret znany tylko panu C. B. Jewellowi, który wcześniej pracował przy przesyłkach kolejowych. W liście do nas pan Jewell opisał swój aparat i sposób jego działania w sposób bardzo ogólny”.

Z przytoczonych fragmentów listu wynika, iż funkcję laboratorium spełniał wóz przewozowy. Na jednym jego końcu sterczały trzy rury, wymierzone w kierunku nieba. Każda z rur, już we wnętrzu pojazdu, dzieliła się na kolejne dwie, a wszystkie sześć łączyło się ze słóikami, w których znajdował się bliżej nieokreślony gaz. Po przeciwnej stronie wozu zamocowano długą półkę, gdzie trzymano potrzebne chemikalia. Nad nią mieściła się bateria i ogromny słój z jakimś roztworem. Ostatnim elementem wyposażenia był umieszczony na górze, wypełniony wodą zbiornik.

„Drugi koniec wozu jest oddzielony i służy jako sypialnia i biuro – pisał dziennikarz. – Cały wolny czas podczas drogi pan Jewell poświęca odpisywaniu na listy przychodzące z różnych stron świata. Pracującą non stop dzień i noc maszynę chce wynająć wielu chętnych. W ubiegłym roku wynalazca był w posiadaniu trzech takich wozów, a zamierza ich mieć jeszcze więcej. Gdyby nie to, że nastały ciężkie czasy, wynalazek pana

Jewella byłby stosowany na wielu obszarach dotkniętych suszą, głównie po to, by usprawnić system kolei”.

Materiały składające się na wyposażenie wozu zamawiano w Chicago, w kilku różnych firmach. Przy czym jeden zakład nie wiedział, co produkuje inny. Człowiek, który asystował odkrywcy i kierował wozem, również nie miał pojęcia, po co wykonuje określone czynności. Wypełniał po prostu instrukcje Jewella.

W listach do redakcji „Engineering News” pisano: „Wynalazek pana Jewella użyty był 66 razy i ani razu nie zawiódł, choć cztery razy spadły tylko mżawki... Te błędy były efektem bardzo dużych i zmiennych wiatrów. (...) Firma pana Jewella nie robi deszczu. Ona jedynie stwarza warunki, których natura potrzebuje, by doszło do opadów”.

Inny czytelnik, pan J. B. Bailey dodawał: „Proszę mi pozwolić opisać eksperyment, który widziałem dwa lata temu. Powietrze było bardzo suche i brakowało wilgoci. Wysłałem oficjalną notę do naszego departamentu, by sprowadzono pana Jewella. Wszystko zaczęło się o drugiej po południu, gdy niebo było bezchmurne. Około 5 pojawiły się pierwsze chmury, a o 9 spadł deszcz. To była pierwsza próba. W drugiej udało się osiągnąć opady o poziomie jednego cala. Wiosną 1894 roku pan Jewell znów do nas przyjechał... Ostatni eksperyment przeprowadził pan Hutchinson, jeden z zastępców szefa”.

„Pan Jewell zesłał nam deszcz w ciągu jakichś trzech dni – pisał do redakcji niejaki J. A. Whittemore. – Miał ze sobą trzy wozy, jeden w Mankato, jeden tutaj, a trzeci w Beatrice, w Nebrasce. Otrzymaliśmy duży opad, wręcz ulewę... Głęboko wierzę w to, że pan Jewell dysponuje mocą produkowania deszczu”.

Gazeta podsumowywała: „Proces wywoływania deszczu polega na wpuszczaniu do atmosfery pewnych nieznanych gazów, które wypompowuje się ze specjalnego aparatu. Jeśli da się wiarę

zapewnieniom odkrywcy, panu Jewellowi, gazy te mają potencjał porównywany jedynie z tajemniczą parą opisaną w 'Baśniach tysiąca i jednej nocy', gdzie wypuszczony ze szkatułki gaz mógł przekształcić się w pałac, twierdzę, dżina lub jakiegokolwiek inny obiekt nie mający nic wspólnego z rozmiarem źródła z jakiego pochodził".

## **DESZCZ ALBO STRYCZEK**

Umiejętność wpływania na pogodę to sztuka bezcenna, zapewniająca obfite plony i panowanie nad światem. Nic więc dziwnego, że we wszystkich kulturach istnieli ludzie specjalizujący się w tej trudnej dziedzinie: kapłani, czarownicy, szamani.

Metody, jakimi posługiwali się, były zwykle oparte na zasadach magii. Oznacza to, że pragnąc sprowadzić deszcz „naśladowali” go przez pokropienie wodą lub „udawanie” chmur. Jeśli natomiast ich zadaniem było spowodowanie suszy, do usunięcia zbyt obfitej wilgoci wykorzystywali ogień.

O skuteczności podobnych rytuałów zaświadcza wiele relacji. Najbardziej spektakularna dotyczy ugaszenia pożaru amazońskiej puszczy w brazylijskim stanie Roraima w 1998 roku. Ogień strawił wówczas obszar ok. 10,5 tys. kilometrów kwadratowych. Na pomoc zawezwano indiańskich szamanów z plemienia Yanomami. Odprawiony przez wtajemniczonych wielki rytuał deszczu spowodował czterogodzinną ulewę, która ugasiła 90% płonących lasów. „Kiedy rdzenni Amerykanie śpiewają pieśń ofiarowując ją deszczowi, deszcz przychodzi i dzieje się tak, ponieważ odczuwają oni powietrze, wodę, ziemię i siebie jako coś jednego” – napisał jeden z badaczy.

U Indian Omaha członkowie świętego Stowarzyszenia Bizonów napełniali wodą duże naczynie i tańczyli wkoło. Potem jeden z nich nabierał wody do ust i wydmuchiwał ją naśladując drobny deszczyk.

Zuluscy zaklinacze z Afryki nacinali skórę młodego wojownika,

przy czym krew z rany symbolizowała deszcz z nieba. Gdy to nie pomagało, polowali na „niebiańskiego ptaka”, zabijali go i wrzucali do wody. Niebiosa „płakały” lamentując nad śmiercią zwierzęcia. Czasem kobiety zagrzebywały po szyję w ziemi swoje dzieci. Ten widok również „wzruszał” niebo.

Błagając o deszcz, aborygeński szaman wzywa ducha, któremu oddano pod kontrolę deszcz, wiatr, grzmot i błyskawice. Nacina sobie przedramiona obu rąk i własną krwią nasącza puch, który później zostanie wyrzucony w powietrze. Po zakończeniu ceremonii w wydrążonym pniu drzewa umieszcza się duże okrągłe kamienie wyobrażające chmury. Do najbliższego stawu trzeba też wrzucić nieco sproszkowanego gipsu. Gdy wszystkie przypisane rytuałom czynności zostaną wykonane, następuje ulewa.

Kąpiel jako czary sprowadzające deszcz znana jest na niektórych obszarach Rosji. Niekiedy po nabożeństwie w cerkwi parafianie powalają na ziemię popa i polewają go wodą. Czasami kobiety nie zdejmując sukni tłumnie kąpią się w rzece.

Deszcz można też zaklinać z pomocą zmarłych. W Nowej Kaledonii zaklinacze malują całe ciało na czarno, wykopują jakieś zwłoki, zabierają kości do jaskini i zawieszają szkielet nad liśćmi kolokazji. Szkielet polewa się wodą, która spływa na roślinę. Panuje przekonanie, że „dusza” nieboszczyka wchłania wylaną wodę, przemienia ją w deszcz i z powrotem zsyła na ziemię.

Chińczycy sporządzają dużego smoka z papieru lub drewna i noszą go w procesji, a gdy to nie odnosi skutku, „zwierzę” jest bezczeszczone, darte i łamane na kawałki. W 1893 roku na Sycylii posucha trwała 6 miesięcy. Nie pomogły modlitwy do Wincentego a Paulo, który co roku dokonywał „cudu deszczu”. Próbowano przebłagać go nieszporami, koncertami, pokazem ogni sztucznych. Bez efektu. Wreszcie chłopci stracili cierpliwość i zaczęli świętych... wypędzać.

W Palermo św. Józefa wyniesiono do ogrodu i za karę postawiono

w słońcu. Innych – jak niegrzeczne dzieci – odwrócono twarzą do ściany. W Caltanissetta Archaniołowi Michałowi zerwano złote skrzydła i przyczepiono tekturowe, a purpurowy płaszcz zastąpiono szmatą. W Licata patronowi, św. Angelo, grożono utopieniem lub powieszeniem. „Deszcz albo stryczek” – wył rozwścieczony tłum wymachując pięściami. Podobno święci w końcu ulegli presji i nad Sycylię nadciągnęła wielogodzinna ulewa.

Autor: Wojciech Chudziński

Źródło: [Infra](#)

## **O AUTORZE**

Wojciech Chudziński (ur. 1964) – dziennikarz i pisarz o bogatym dorobku, współpracownik licznych pism, od 2005 r. zastępca redaktora naczelnego „Nieznanego Świata”, autor lub współautor takich książek jak: „Kręgi, cuda, kwanty...”, „Ten drugi w nas”, „Niewyjaśnione zjawiska w Polsce”. Odwiedź stronę internetową autora.